



Miss

Chciał, żeby została
jego kolejną zabaweczką...

INDEPENDENT

Miss Independent #1

Joanna Balicka



Copyright © 2020

Joanna Balicka

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Kamila Reclaw

Korekta:

Magdalena Lisiecka

Joanna Kasprzyk

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-412-2

JOANNA BALICKA

**MISS
INDEPENDENT**

#1

OŚWIĘCIM 2020

PROLOG

Rok wcześniej...

Bryson

Jakiś dźwięk wyrwał mnie z zamyślenia. Przez cały czas wsłuchiwałem się w odgłos silnikowych wirników. Przez okno zauważyłem, że wylądowaliśmy na prywatnym lotnisku w Queens. Westchnąłem, ze zmęczenia przecierając twarz dłonią. Omiotłem wzrokiem błyszczące ściany wyłożone panelami i skórzane fotele w kremowym kolorze. Odrzutowiec był jak latająca limuzyna – spełniał swoją rolę pod każdym względem.

Wtedy do mnie dotarło, że to już – znowu tu byłem. Powrót okazał się trudniejszy, niż mogłem się tego spodziewać. Nie powinno się rozdrapywać starych ran. Blizny najlepiej zostawić w spokoju. Wspomnienia były jak atrament przypadkiem wylany na puste kartki. Nieważne jak bardzo chciało się go zetrzeć – nie znikał. Co najwyżej powstawały dziury, których nie mogłem załatać. Nie po to przecież tyle pracowałem nad sobą, by teraz rozsypać wszystko jak domek z kart.

To już – powtórzyłem w głowie – wróciłem.

– Jak minęła podróż, panie Scott? – spytał mężczyzna, członek załogi, zbliżając się z moją marynarką.

Podniosłem się z miejsca i rzuciłem mu suche spojrzenie. Wyglądał jak uczeń z pierwszej ławki, ubrany w schludny mundur i dopasowany garnitur. Sprawiał wrażenie osoby, która całe życie czeka na przyjęcie wydawanych rozkazów. Patrząc na mnie wyczekująco, ale gdy robił to już zbyt długo, poczułem

zdenerwowanie. Co niby miałem mu powiedzieć? Że ich stewardesa właśnie obciągnęła mi kutasa w samolocie za sześćdziesiąt milionów, podczas gdy ja piłem whisky droższą od jego miesięcznego wynagrodzenia? Uśmiechnąłem się na tę myśl.

Zauważyłem, że on też się uśmiecha. Musiał pomyśleć, że złagodniałem wobec niego. Nic bardziej mylnego. Ludzie muszą wiedzieć, gdzie jest ich miejsce. Gdy ktoś wychodzi przed szereg i nie trzyma się swoich obowiązków, musi z powrotem zostać włożony niczym puzzle do układanki. Nienawidziłem tracić kontroli i wszyscy z mojego otoczenia doskonale o tym wiedzieli.

Wsunąłem marynarkę na ramiona i zerknąłem na zegarek od Richarda Mille'a. Godzina – tyle trwał lot z Toronto do Nowego Jorku. Pieprzona godzina.

– Wszystko przygotowane? – mruknąłem, ignorując jego pytanie. I tak gówno go to obchodzi, po prostu musi wykonywać swoją pracę.

– Pański konsjerż czeka już przed samolotem. Limuzyna jest przygotowana, zabierze pana bezpośrednio do hotelu Four Seasons, tak jak pan prosił – poinformował, wciskając przycisk, dzięki któremu zwolniła się blokada, a drzwi zostały automatycznie otwarte. – Życzę panu miłego pobytu, panie Scott – dodał z uprzejmym uśmiechem.

Wyraz jego twarzy zmienił się w przeciągu sekundy. Zignorowałem go. *Miłego pobytu, kurwa mać*. Prychnąłem, potrząsając głową.

Wyjątkowo ponury poranek w Queens prześmiewczo oddawał moje samopoczucie. Zszedłem po schodach, opuszczając pokład G650. Wtedy usłyszałem dźwięk migawek i już wiedziałem, co jutro zobaczę w gazetach. Ochroniarze eskortowali mnie w krótkiej drodze do podstawionego bentleya. W limuzynie odetchnąłem głęboko i odchyliłem głowę, opierając ją o zagłówek. Miałem załatwiony cichy, pozbawiony tłumy przylot, nie

licząc ścigających paparazzi, którzy za moje zdjęcie z powrotu do Stanów dostaliby gruby hajs. Na szczęście moi agenci zadbali nawet o to, by samolot zasłonił kamerom widok do momentu opuszczenia lotniska.

Prywatność i bezpieczeństwo można kupić za pieniądze. Właściwie to wszystko można załatwić za ich pomocą. Wystarczy wiedzieć, ile i komu zapłacić. Mój agent zajmował się wycofywaniem z Internetu lub gazet każdego artykułu, a czasem nawet całych nakładów, jeśli źle pisano tam o mojej przeszłości. Po powrocie do Nowego Jorku miałem być czysty jak łaza, pokazany od łagodnej i poszkodowanej strony. Ta historia miała zakończyć się szczęśliwie. Ktoś złamał mi serce, więc zacząłem brać, pić i jarać na potęgę. Dochodziło do momentów, w którym piloci musieli zakładać maski tlenowe, bo dym unosił się jak pierdolona chmura nad Houston. Straciłem kobietę, straciłem matkę, pogubiłem się, ale powoli wracałem na szczyt. To materiał godny bestsellerowej książki, za którą można by zgarnąć masę nagród, albo hollywoodzkiego scenariusza, na podstawie którego powstanie film, a tuż po nim posypie się masa Oscarów. Gotówka rządzi wszystkim wokół nas. Mając pieniądze, automatycznie zdobywasz władzę i szacunek.

Nie od dziś wiadomo, że ludzie są naiwni. Kupują wszystko, co się im wciśnie, bez przetwarzania informacji w głowie. Nasza cywilizacja jest podatna na manipulację, a jeszcze jakby dodać do tego gruby hajs, ludzie przebaczą ci w mgnieniu oka, cały skandal rozejdzie się zaś po kościach. Mało kto będzie wspominał fakt, że Bryson Scott, syn potężnego Stevena Scotta, naćpany na potęgę korzystał z usług brazylijskich prostytutek. Ludzie będą widzieć, że jest wpływowy, no i przecież ma takie dobre serce. Lada moment nagłówki gazet zaczną krzyczeć, że przelałem dwadzieścia milionów dolarów na fundację na rzecz głodujących dzieci. Jakie to miało znaczenie dla kogoś, kto chwilę wcześniej zajażdżał się wędzonym homarem błękitnym czy car-

paccio z polędwicy wołowej? Znajdą się też tacy, którzy będą mnie krytykować, widząc z powrotem na szczycie. Zabawne.

Czas spędzony na odwyku potraktowałem jak swoistą naukę. Wyciszyłem się, zmieniłem wszystko wokół siebie, łącznie z ludźmi, którzy niegdyś mnie otaczali. Powrót do Stanów był jednak jak wręczenie sobie kluczy do własnej celi więziennej. Pakowałem się w to samo gówno, które kilka lat temu mnie niemal doszczętnie zniszczyło. Ale dziś byłem inny – silniejszy, pewniejszy, wkurwiony do granic możliwości i desperacko głodny sukcesu. Jeśli czegoś będę chciał, zdobędę to szybciej, niż zdążę to wypowiedzieć. Bycie chłodnym skurwysynem to jedna z tych rzeczy, które pozwalały iść na szczyt. Ludzie wykorzystują dobroć, bo każdy jest chciwy i egoistyczny. Oprócz mocnych pleców trzeba też mieć twardą dupę. To także ludzie są motorem tego świata. Światowi liderzy, chroniąc słabszych, sami stają się silniejsi. Naprzód możesz iść tylko wtedy, gdy zapewnisz sobie stabilną sytuację.

Nie wyniosłem chęci powrotu na szczyt z samego pragnienia zwycięstwa, ale z głęboko zakorzenionego poczucia obowiązku. Nie mogłem tak po prostu odejść, gdy jako jedyny syn Steve'na Scotta, jednego z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w Stanach Zjednoczonych, miałem przejąć po nim zwierzchnictwo nad International Finance Center.

– Jesteśmy na miejscu, panie Scott – poinformował Carter, mój konsjerż.

Polubiłem go. Carter nic nie mówił, nic go nie interesowało, przez całą drogę nawet na mnie nie spojrział. Nie zadawał zbędnych pytań, nie udawał, że obchodzi go moja obecność. Po prostu tu był i prowadził bentleya.

Skinąłem głową na znak, że rozumiem. W milczeniu opuściliśmy limuzynę, która zatrzymała się na tyłach Four Seasons i w eskorcie ochroniarzy wszedłem do hotelu. Wejście głównymi drzwiami byłoby zbyt ryzykowne. Nie chciałem trafić na ludzi

z kamerami, a tym bardziej nie potrzebowałem hucznego powitania. Chciałem w spokoju zająć swój penthouse, odświeżyć się i zaszyć tam aż do południa. O trzynastej miałem spotkanie zarządu.

Zbliżyłem magnetyczną kartę do drzwi. Krótki dźwięk zasignalizował ich otwarcie. Zanim jednak wszedłem do środka, spojrzałem na Cartera, który skierował się w stronę wind.

– Zostaniesz w pokoju obok? – spytałem.

Konsjerż odwrócił głowę, jakby chciał się upewnić, że mówię do niego. Zmarszczył czoło w zaskoczeniu i ponownie się rozejrzył.

– Co miałyby być tego powodem, panie Scott? – spytał zdezorientowany.

Przełknąłem ślinę w milczeniu. Co miałyby być tego powodem?

Nie chcę być sam.

Mówią, że człowiek jest w stanie przyzwyczać się do samotności. A tymczasem to jeden z moich demonów. Nie byłem w stanie zliczyć, ile ich wszystkich mam. Niszczyła mnie każdego dnia, przyćmiewając światłość całkowitą ciemnością – a to z kolei było jak posiłek dla moich koszmarów. Gdzie znajdował się jej limit? Gdzie były granice samotności? Byłem sam podczas odwyku. Byłem też sam, gdy przeżywałem objawy abstynencyjne po odstawieniu narkotyków. Mój organizm domagał się ich tak jak wody, a gdy ich nie dostawałem, wariowałem. Miałem wrażenie, że ktoś mnie dusi, że ktoś próbuje mnie zabić. A kogo możesz poprosić o pomoc, gdy jesteś całkiem sam?

– Chcę, żebyś tu został, na wypadek gdybym cię potrzebował – rzuciłem wypranym z emocji głosem, jak gdyby nie miało dla mnie żadnego znaczenia, jaką decyzję podejmie.

Carter patrzył na mnie przez chwilę w zwątpieniu, a po chwili słabo się uśmiechnął.

– Dobrze, panie Scott. Gdyby mnie pan potrzebował, będę obok – odparł, wskazując głową na drzwi niemal na drugim końcu holu.

Mimowolnie uśmiechnąłem się na jego słowa. Świadomość, że nie będę sam, była dla mnie w tej chwili znacznie ważniejsza niż cokolwiek innego. Pobyt w nowym miejscu, zwłaszcza po moim powrocie, napawał mnie niepokojem. Westchnąłem, wchodząc do penthouse'u. Wyglądał jak dom, ale to nie był *mój* dom. Zdjąłem buty, rozebrałem się i ruszyłem do łazienki, by wziąć prysznic. Uczucie bycia prześladowanym nie opuściło mnie nawet tutaj. Milion razy sprawdzałem, czy drzwi na pewno zostały zamknięte.

Prysznic znajdował się na środku łazienki, a jego ściany wykonano z przezroczystego szkła. Panel dotykowy miał mnóstwo opcji do wyboru – regulacja temperatury, ciśnienia wody, masaże, bicze wodne, dozownik z mydłem, szamponem, zapachami, olejkami czy innymi pierdołami. Po wejściu na matę poczułem bijące od niej ciepło. Ustawiłem odpowiednie parametry i gdy woda z deszczownicy spłynęła na moje ciało, odchyliłem głowę w tył z błogim westchnieniem.

Moje nerwy były w strzępach, musiałem przynajmniej spróbować je ukoić, pozwalając sobie na chwilowe otepianie, wyłączenie wszelkich zmysłów, poza dotykem. Stałem tam w bezruchu z dobre dziesięć minut, zanim zacząłem się myć. Wcisnąłem przycisk na panelu, gdy opłukałem się z piany. Odgarnąłem włosy w tył w stylu Davida Beckhama i oparłem obie dłonie na szklanej ścianie. Poczulem dreszcze na wspomnienie o prysznicu z *nią*. Równie szybko, jak przyszła mi na myśl, potrząsnąłem głową i pozbyłem się natręctwa. Nienawiść do *niej* to jedyne czyste uczucie, jakie znam.

Wypełniłem łazienkę parą po rozchyleniu przezroczystych drzwi. Osuszyłem ciało i włosy ręcznikiem, założyłem bokserki i poszedłem do sypialni. Położyłem się na wielkim łóżu i odetchnąłem, prawdopodobnie po raz setny tego dnia. Zanim podłączyłem telefon do hotelowej ładowarki, ustawiłem w nim alarm.

Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, umysł ukazywał mi sceny niczym fotografie. Sen był zawsze taki sam – pełen niepokoju, przepelniony wspomnieniami. Mój ojciec potrząsał mną za ramiona, jakbym nie był dzieckiem, a szmacianą pacynką. Nie wiem, ile miałem lat. Osiem? Dziewięć? W radiu właśnie grali piosenkę Fugees *Killing Me Softly*. Tata był wściekły, a ja nawet nie wiedziałem dlaczego. Nie rozumiałem źródła jego gniewu. Mama krzyczała, by przestał, aż wreszcie wkroczyła do akcji. Odepchnęła go, co spowodowało, że upadłem na sofę. Nie wiedziałem, co się dzieje. Byłem zbyt zszokowany, by płakać, zbyt przerażony, by krzyżeć. Poczułem, jak mama przyciąga mnie mocno do siebie i przeprosza za to, co właśnie się wydarzyło, choć to właściwie nie była jej wina. Mama zawsze przeproszała. Przeproszała za wszystko, co robił ojciec. Starła się wytłumaczyć mi, że tata jest zapracowany i zdenerwował się, gdy zbyt mocno uderzyłem piłką o podłogę. Zabrał mi ją i wyrzucił przez okno, a później wydarzyło się to, co się wydarzyło. Tata był człowiekiem sukcesu, dlatego wpadał w furję, gdy coś nie szło po jego myśli. Poniżał moją matkę, ale ona jakby się tego domagała. Kochała go. Ja też go kochałem. Jako dziecko wiedziałem o rzeczach, o których dzieci nie powinny wiedzieć.

Jeszcze większy gniew ogarnął go wtedy, gdy w cotygodniowym sprawozdaniu szkolnym mieliśmy opisać nasz weekend. Napisałem, że mój tata był na mnie zły i bardzo się zdenerwował, ale mama poprawiła mi humor. Zawsze podtrzymywała mnie na duchu, zabierała do kina. A wtedy powiedziała, że pójdziemy kupić nową piłkę. Mogłem wybrać taką, jaką tylko chciałem – wybrałem zwykłą, do gry w nogę. Nie odstawała od innych. Tak samo jak ja nie lubiłem odstawać od innych. Mieliśmy więcej pieniędzy, a to sprawiało, że niektóre dzieci uważały mnie za rozpieszzonego bachora. Przestałem przynosić do szkoły zabawki, a po drodze do niej zamieniałem schludny sweter na luźną bluzę od starszego kuzyna. Kiedy tata wyjął spr-

wozdanie z mojej książki, wściekł się i zmusił do ponownego napisania pracy. Puenta była bardzo prosta – nie mów nikomu, co się dzieje w domu. Potem musiałem zabrać to do szkoły i wyrecytować wyidealizowany obraz mojego życia przed całą klasą. Sztuką było zrobić to dobrze.

Po przebudzeniu czułem się bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem. Wyłączyłem alarm w telefonie ze świadomością, że zostało mi jeszcze kilka minut, by poleżeć. Wpatrywałem się w sufit, mrugając oczami. Nie marnowałem czasu na myślenie o tym, co dziś założę, co zjem, co mam do załatwienia – tym zajmowali się moi ludzie. Ja jak obłąkany gapiłem się w sufit i modliłem, by ten dzień skończył się szybciej, niż się zaczął.

Podparłem się na łokciach, a potem usiadłem. Jedenasta trzydzieści – półtorej godziny do spotkania. Wstałem z łóżka i wszedłem do garderoby. Okazało się, że czekał tam już na mnie przygotowany komplet – biała koszula, garnitur od Balmaina, czarne i błyszczące lakierowane buty, granatowy krawat od Hermès, srebrne spinki do mankietów i, cholera, nawet skarpetki stylisty dobrał mi pod kolor. Gdy byłem już ubrany, przejrzałem się w lustrze z mimowolnym uśmiechem. Przypominałem swojego ojca, gdy robił te wszystkie rzeczy, podczas których nie miał czasu być człowiekiem.

– Dzień dobry, panie Scott – usłyszałem, wchodząc do kuchni. Niewysoki mężczyzna w hotelowym uniformie stał z rękoma schowanymi z tyłu i patrzył na mnie z uśmiechem. – Przyniosłem panu śniadanie: espresso oraz naleśnik ze szkockim homarem, rosyjskim kawioem i truflą Huile Verge z sosem holenderskim, przygotowanym przez naszego szefa kuchni z najserdeczniejszymi pozdrowieniami – recytował z pamięci niczym wierszyk na dzień matki, za który zaraz miałyby się rozlać fala braw.

Wykrzywiłem usta, wsuwając dłoń do kieszeni spodni, i spojrzałem na talerz, a potem na hotelowego.

– A normalnych tostów nie było? – rzuciłem od niechcenia.

Mężczyzna wyprostował się na baczność, twarz mu pobladła.

– Och, zaraz mogę sprowadzić tosty, panie Scott. Jeśli da mi pan chwilę... – odparł, pośpiesznie wyjmując telefon z kieszeni.

– Spokojnie, przecież żartuję – odparłem z lekkim rozbawieniem.

Hotelowy zamrugął oczami, pokiwał głową w milczeniu i powolnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Był biały jak ściana i nie pomyliłbym się, twierdząc, że za moment zemdleje.

Po śniadaniu odwiedził mnie fryzjer, który ułożył włosy w quiffa. Umyłem zęby, użyłem ulubionych perfum i, gotowy do wyjścia, chwyciłem za telefon.

Carter czekał na mnie na dole w lobby. Tym razem mieliśmy wyjść głównymi drzwiami, by pokazać się ludziom i zapewnić materiał dla mediów. Plan był prosty: oni dają mi rozgłos, a ja daję im zarobić za uchwycenie mnie na zdjęciach czy filmach.

– Jest pan gotowy, panie Scott? – spytał Carter.

Podniosłem na niego wzrok i nagle zgłupiałem. Cholera. Czy ja byłem gotowy? Musiałem mieć pod kontrolą wszystko, co mogłoby się wydarzyć. Miałem wyjść, przejść przez tłum i dotrzeć do limuzyny. Pokiwałem głową w odpowiedzi, wsuwając okulary przeciwsłoneczne na nos. Wraz z otwarciem drzwi rozległ się masowy dźwięk kliszy i towarzyszące temu krzyki i pytania, na które nie musiałem – ani też nie chciałem – odpowiadać. Okulary ochroniły mnie przed flesztami i cieszyłem się z tego powodu, inaczej przez resztę drogi widziałbym przed oczami białe plamy. Ochroniarze towarzyszyli mi aż do bentleya, a gdy zająłem miejsce, wsiedli do czarnych SUV-ów.

Odetchnąłem i rozpiąłem marynarkę. Carter nic nie mówił i przez to lubiłem go jeszcze bardziej. Wyjąłem telefon i z gryzącej ciekawości wpisałem swoje nazwisko w internetową wyszukiwarkę. Skrolując strony, natknąłem się na kilka artykułów. Nie myliłem się – zdjęcia z lotniska rozlały się niczym fala tsunami na portalach – od plotkarskich po wiadomości dnia.

The New York Times: *Bryson Scott – wielki powrót syna biznesu.*
Forbes: *Długo oczekiwany szczyt w International Finance Center – znamy szczegóły!*
USA TODAY: *To już dziś! Steven i Bryson Scott gotowi na twarde negocjacje.*

Zaśmiałem się kpiąco pod nosem. Kto wymyśla takie tytuły?

– Jesteśmy na miejscu, panie Scott – poinformował Carter.

Cholera. To już. Przez przyciemniane szyby mogłem dostrzec strzelisty drapacz chmur, mierzący sto dziesięć pięter. Poczulem niepokój zmieszany z ekscytacją. Nic się nie zmienił. Minęło kilka lat, a wszystko było dokładnie w takim stanie, jak wtedy, gdy byłem tu po raz ostatni. Chłodne, metalowe i podświetlane białymi ledami litery układały się w napis: International Finance Center. Front został zbudowany w całości z tafli szkła, a na dachu zainstalowano panele słoneczne, dzięki czemu budynek IFC był w całości zasilany energią odnawialną.

Cholera... – przełknąłem ślinę – to już.

Może jednak nie byłem gotowy? Presja związana z powrotem okazała się cięższa niż sam przyjazd do Nowego Jorku. Zaciśnąłem szczękę, chowając na chwilę twarz w dłoniach. *Przechodzicieś przez gorsze rzeczy, Scott.* Wejście do IFC w porównaniu z tym wszystkim było jak przejście przez ulicę... tyle że w niestrzeżonym miejscu i przy natężonym ruchu. Kurwa, im dłużej tu siedziałem, tym mniej chciałem wyjść.

Carter wciąż milczał. Byłem mu za to cholernie wdzięczny.

– Dla kogo pracujesz, Carter? – spytałem wreszcie.

Chciałem uwolnić umysł od natłoku myśli. Być może rozmowa z nim sprawiłaby, że poczułbym się lepiej. Mężczyzna spojrział na mnie w przednim lusterku z nutą niepewności wymalowaną w oczach.

– Dla Royal's Travel Enterprise – odparł rzeczowo. Nie kręcił, nie zwodził mnie, od razu odpowiadał na pytania.

– Już tam nie pracujesz – rzuciłem, zsuwając okulary z nosa i ściskając jego czubek.

Carter odwrócił się do mnie i uniósł brwi w zaskoczeniu.

– Jak to? – sapnął ze zmartwieniem w oczach.

– Proste, zostajesz zwolniony – mruknąłem, wzruszając przy tym ramieniem. Gdy tak na mnie patrzył, zmarszczyłem czoło. – Powiedziałem coś nie tak? – niemal warknąłem.

– Nie, absolutnie, panie Scott – westchnął, potrząsając przy tym głową i oblizując nerwowo usta. – Zrobiłem coś niewłaściwego? Jeśli tak, to przepraszam, nie chciałem w żaden sposób pana urazić, panie Scott – dodał po chwili ciszy.

– Carter... – zacząłem, opierając dłoń na jego ramieniu i poklepując. – Zostajesz zwolniony, bo od dziś pracujesz dla mnie – skwitowałem z nikłym uśmiechem.

Mężczyzna patrzył na mnie jak na głupca, a jego oczy błysnęły tak, jakby znalazł na ulicy milion dolarów w gotówce. Pokiwał głową z uznaniem i odwzajemnił mój uśmiech.

– Cóż, bardzo dziękuję, jest mi...

– Nie przyzwyczajaj się – wtrąciłem, biorąc po chwili głęboki wdech, i wysiadłem z bentleya, a zaraz za mną z czarnych mercedesów wyłonili się ochroniarze, którzy eskortowali mnie aż do wejścia. Z całej czwórki tylko jeden wszedł ze mną do budynku korporacji.

Nic się nie zmieniło, może poza recepcjonistką, która skrywała się za marmurową wyspą. Od razu uderzyła mnie jasność. Przez sufit szerokiego lobby przebiegały szklane panele, które oświetlały korytarz naturalnym światłem. Na lewo było przejście do firmowej kawiarni i restauracji, natomiast po prawej stronie znajdowało się wejście do prywatnego ogrodu, gdzie pracownicy mogli przewietrzyć umysł. W milczeniu ruszyliśmy w stronę wind vis-a-vis wejścia. Podczas wznoszenia się mieliśmy idealny widok na panoramę miasta.

Wysiedliśmy na cholernie dobrze mi znanym dziewięćdziesiątym piątym piętrze. Westchnąłem na widok rozciągającego się korytarza z ułożonymi w szeregach szklanymi biurami. Perłowoczarne drzwi na samym końcu zawsze wzbudzały we mnie miliony silnych emocji. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, była Harper, asystentka mojej... przekląłem w myślach na wspomnienie o niej. Kobieta zastygła w pół kroku, wpatrując się we mnie w milczeniu. O mały włos nie wypuściła z rąk tableta. Zamknęła go w skórzanym etui i z szerokim uśmiechem ruszyła w moją stronę.

– Panie Scott... – sapnęła, jak gdyby próbowała coś powiedzieć, ale nic nie przyszło jej na język, więc przyciągnęła mnie do przyjacielskiego uścisku. – Jak dobrze pana widzieć – dodała ściszonego głosem.

Uśmiechnąłem się na jej słowa, odwzajemniając przytulenie. To takie miłe – wiedzieć, że ktoś na ciebie czekał; że ktoś chciał cię zobaczyć.

– Mój ojciec już tu jest? – spytałem, nie chcąc wdawać się w kliwą dyskusję.

Harper pokiwała głową, kiedy się odsunęła. Przetarła wilgotne ze wzruszenia policzki i cicho się zaśmiała.

– Tak, od kilku dni jest podminowany, postawił całą korporację na nogi, bo bardzo się przejął pańskim powrotem – odparła, przekrzywiając przy tym głowę z szerokim uśmiechem.

Przytaknąłem, w myślach, przewracając oczami. Jasne, że się przejął. Przygotowuje się do odejścia na emeryturę. Przez cały czas u jego boku nabierałem doświadczenia w zarządzaniu firmą. Zanim odszedłem, miałem nawet swoje miejsce w zarządzie jako jeden z dyrektorów. Wspierałem go także wtedy, gdy umarła mama. Nie był sobą, nie funkcjonował prawidłowo, właściwie praktycznie nie istniał.

– Jest w audytorium. – Wskazała na salę konferencyjną, która znajdowała się po prawej stronie. Poklepała mnie po torsie i mrugnęła z uśmiechem. – Powodzenia.

Kiwnąłem głową i odetchnąłem, zanim ruszyłem we wskazanym kierunku. Mój ochroniarz został na korytarzu, kiedy nacisnąłem klamkę masywnych przyciemnianych drzwi. Ze środka można było zobaczyć, co działo się na zewnątrz, natomiast z wewnątrz nie można było dostrzec nic. Wszyscy odwrócili głowy na mój widok, wszyscy poza *nim*.

Ojciec jako ostatni obrócił się przodem do mnie, a jego chłodne zielone oczy natychmiast mnie sparaliżowały. Wyglądał jak przestarzała wersja mnie. Podobne rysy twarzy, z tym że jego już pomarszczone. Niegdyś czarne włosy przechodziły w popiełaty szary. Podkreślająca jego kości policzkowe, świeżo tknięta brzytwą broda łączyła się z wąsami. Nie czyniła z niego dziadka, a dojrzałego mężczyznę w sile wieku. Wciąż był tym potężnym facetem – dokładnie takim, jakim go zapamiętałem.

Uśmiechnął się, przez co prawie go nie rozpoznałem. Przełknąłem ślinę i kiwnąłem mu głową.

– Ojcze...

– Bryson, synu... – Odetchnął, jak gdyby doznał ulgi na mój widok, i podszedł bliżej.

Przyciągnął mnie do uścisku i poklepał po plecach. Powstrzymałem się przed przywołaniem w pamięci chwil, kiedy zadawał mi uderzenia w ramach odbywanych kar. Złapał moją twarz w dłonie i z niewypowiedzianą dumą pocałował mnie w czoło. Kurwa, kto to był? Mój ojciec? Gdybym nie ujrzał wiecznego gniewu wymalowanego w jego oczach, pomyślałbym, że go podmienili. Ojciec nigdy nie powiedział, że mnie kocha. Nie marnował też czasu na zbędne czułości. Nie był jednym z tych rodziców, którzy zabierali dziecko na plac zabaw, nie zbudował mi domu na drzewie, ani też nie bawił się ze mną samochodzikami. On miał od tego ludzi, którzy wykonywali za niego wszystkie ojcowskie obowiązki. Stąd pamiętam Worrena, Benjamina, Roberta... ale mojego ojca gdzieś w tym wszystkim zabrakło. Przeważnie widziałem go w weekendy, o ile nie wyjeżdżał w delegacje. Czę-

ściej przebywał poza domem, podróżując od miejsca do miejsca, albo przesiadywał w murach IFC. Był surowy, zdyscyplinowany i porywczy. Zawsze słyszałem od niego, jak to miał ciężko w życiu, jak okropne było jego dzieciństwo, no i jak wiele musiał poświęcić, by być tu, gdzie jest, wypominając mi przy tym wielokrotnie, że powinienem się cieszyć ze swojego łatwego startu. Widmo korporacji prześladowało nas od pokoleń. Jego dziadek był weteranem wojennym, jego ojciec dzięki zachowanemu majątkowi założył IFC, a on sam przejęcie zwierzchnictwa traktował jak koronację. Obnosił się ze swoją dumą niczym orderem, bo dzięki niemu holding finansowy rozwinął się do międzynarodowej sieci. Nie wliczając kryzysu finansowego z 2007 roku, prosperował tym naprawdę świetnie. Ojciec był cholernie inteligentny, ale jego porywczosć krzywdziła najbliższych niczym huragan równający wszystko z ziemią. Jego zielone oczy nigdy się nie uśmiechały. Ale dziś... dziś było inaczej.

– Witamy ponownie, panie Scott – powiedział pan White, otwierając ramiona, i z szerokim uśmiechem przyciągnął mnie do męskiego uścisku. – Niech no ci się przyjrzę – dodał, klepiąc mnie po twarzy i śmiejąc się. – No, prawdziwy mężczyzna – skwitował rozbawiony. Złapał mnie za dłonie i mocno je ścisnął, a następnie poklepał po barku. – Będziesz potęgą – mówił, wtykając palec w mój tors. – Wszyscy na świecie będą wiedzieli, kim jest Bryson Scott. Na dźwięk tego nazwiska będą drżeć jak przed sądem ostatecznym. – Przez cały ten czas nie spuszczał spojrzenia z moich oczu, jakby przewidywał mój los. – Jesteś przyszłością International Finance Center, chłopcze. To trochę jak z żoną, jesteś z nią na dobre i na złe. Czasem będzie cię wkurwiać, będziesz miał jej dość, ale gdy spojrzysz na inne, pomyślisz sobie... cholera, pieprzony szczęściarz ze mnie – dokończył kpiąco i poklepał mnie po plecach.

– Przestań mu zatruwać umysł, White. Chłopak ma się skupić na interesie, a nie na kobietach. – Surowy głos ojca natychmiast przywołał mnie do porządku. I jak na razie tylko mnie.

– Znajdzie czas na wszystko, Steven – westchnął White i przewrócił oczami, a potem znowu na mnie spojrział. – Twój staruszek ma nierówno pod sufitem, nie słuchaj go – szepnęła, obejmując mnie ramieniem niczym syna, którego nigdy nie miał.

Nie słuchać go? Ojciec był, jaki był, ale niesłuchanie go to głupota. Nie znałem nikogo bardziej zdeterminowanego niż on. Dostał to, co chciał, gdzie chciał, kiedy chciał i jak chciał. Gdyby zażył sobie wielbłąda prosto z Emiratów Arabskich, załatwiliby mu to jeszcze tego samego dnia. Jego obecność roznosiła się donośnym echem, chociaż nic nie mówił. Właściwie nie musiał wypowiadać ani słowa, by być najgłośniejszą osobą w pomieszczeniu.

– A co z Collins Enterprises? – spytałem mężczyznę, marszcząc brwi na wspomnienie o jednym z naszych głównych konkurentów na rynku ekonomicznym. – Harvey nadal jest rekinem biznesu?

– Rekiny mają mózg w kształcie macicy, Brysonie, z niego jest co najwyżej pizda – rzucił poirytowany na samo przytoczenie jego nazwiska, a po chwili uśmiechnął się tak, jakby to nie miało miejsca. – Splajtowali. – Wzruszył ramieniem z rozbawieniem.

Cholera. Zdominowaliśmy ich.

– Żartujesz? – Mogłem się jedynie domyślać, jak bardzo miałem rozszerzone oczy z zaskoczenia.

– Twój staruszek ich wykupił – przyznał White z rozbawieniem. – Żebyś widział minę Harveya, gdy Steven podpisał dokumenty! – Jego śmiech odbił się echem w audytorium. Kiwał głową sam do siebie, jakby powiedział przekomiczny żart. – A Steven? Cholera, jeszcze nigdy nie widziałem go tak uśmiechniętego. Cieszył się bardziej niż w dniu, kiedy się urodziłeś. – Wyszczrzył zęby, patrząc na mojego ojca.

Starszy Scott patrzył na White'a jak na idiotę. Właściwie to prawie na wszystkich tak patrzył. Westchnął i z dezaprobatą pokręcił głową. Przywołał mnie ruchem dłoni.

– Brysonie, to jest zarząd IFC – powiedział ojciec, gdy podszedłem bliżej.

Przywołał grupę osób, które stanęły przed nami w szeregu. Sami faceci i jedna kobieta. Kobieta? Z zaskoczeniem spojrzałem na ojca, a następnie na rudowłosą kobiecinę. Mój ojciec był sekсистą i nie krył się z tym. Dla niego kobiety były słabe, głupie i przynosiły same szkody. Tak zapamiętał swoją matkę, której osoba trwale odcisnęła piętno w jego psychice.

– Będzie jeszcze szansa się poznać, jutro o dziewiętnastej jest firmowa kolacja w Masa – poinformował, jak zwykle układając mi życie. Stłumiłem chęć przewrócenia oczami. Ojciec wykonał ręką ruch, który wszyscy jednoznacznie zrozumieli. Gdy zostaliśmy sami, odetchnąłem ciężko i potrząsnąłem głową. – Jesteś na to gotowy? Gotowy na to wszystko? – spytał.

– Nigdy nie byłem bardziej – odparłem, podnosząc wzrok. – Zmieniłem się, wszystko się zmieniło – przyznałem i przesunąłem językiem po wnętrzu ust, jakbym próbował pozbyć się uczucia irytacji.

Wątpił we mnie. Czuję, że moje słowa nie do końca go przekonały.

– Myślę, że dojrzałeś do niektórych decyzji. Musiałeś dorosnąć szybciej niż twoi durni znajomi i cieszę się, że nie skończyłeś jak oni – mruknął surowym tonem i wykrzywił zniesmaczony usta. – Stworzyliśmy tę firmę od podstaw, pracowaliśmy nad tym od pokoleń i teraz to wszystko spocznie na twoich barkach – dodał, kładąc dłonie na moich ramionach, podczas gdy jego oczy skanowały moją twarz. – Zapytam cię jeszcze raz, jesteś na to gotowy?

– Nie zawiodę cię, ojczu – zapewniłem, na co on prychnął i potrząsnął głową.

– Nie. Wierzę, że nie – przyznał, odsuwając się o krok. – Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Chłód jego oczu niemal przybił mnie do ściany. Nieważne ile lat by minęło, jak silny bym nie był, ojciec był jedyną osobą, która

była zdolna mnie zdominować. Z reguły ukrywałem swoje emocje niczym wrażliwe dane wywiadowcze, których wyciek mógłby doprowadzić do katastrofy na miarę Snowdena. Z reguły tak właśnie było, ale mój ojciec czytał mnie jak otwartą księgę – od deski do deski.

– Zmieniłem się – podkreśliłem to tak wyraźnie, jakbym mówił do trzylatka. – Nie jestem tym samym facetem, co kilka lat temu. Zmieniłem się. Zmieniłem, kurwa, co chcesz ode mnie usłyszeć? – wycodziłem, wyrzucając dłonie w powietrze. – Co mam ci powiedzieć? Nie, nie rozpiardolę firmy, nie roztrwonię kasy i jeśli o to ci chodzi najbardziej, nie wrócę do narkotyków i nie zakocham się, pasuje ci? – warknąłem, chowając dłonie w kieszeniach, i potrząsnąłem głową. – Chcesz mi układać życie? W porządku. Tylko jeśli coś mówię, zapamiętaj, że nie rzucam słów na wiatr, okej? – Uniosłem wyzywająco brwi, doszukując się czegokolwiek w wyrazie jego twarzy.

Ale nie dostrzegłem niczego poza uśmiechem, w którym rozciągnęły się jego usta. Napięcie między nami było prawie namacalne. Steven nie miał łatwego charakteru. Mierząc się z nim wzrokiem, miałem ochotę go spoliczkować za sam fakt, że we mnie zwątpił po wszystkim, co przeszedłem. Zamiast tego wyszedłem mu naprzeciw. Ten jeden raz nie pozwoliłem mu się psychicznie zdominować. Miał wybuchowy temperament jak C-4 i gdyby chciał, rozniósłby wszystko wokół nas. Jeszcze kilka lat temu milczałbym i poczekał, aż burza minie, ale teraz, gdy stałem z nim twarzą w twarz, czułem się silniejszy i bardziej zdeterminowany.

Ojciec pokiwał głową z uśmiechem i wytknął palec w moją stronę.

– I na taką odpowiedź czekałem – powiedział, a kąciki jego ust nie opadły nawet na milimetr. – Ile złego musiało się wydarzyć, żebyś wyrobił swój charakter. To jest korporacja, synu, a nie plac zabaw. Tutaj każda decyzja ma kurewsko ważne znaczenie. Tu, na Wall Street, decyzje podejmuje się w maksimum sześć sekund.

Wybierasz opcję A – twoja firma utonie w długach. Wybierasz opcję B – i może tym razem ci się uda. Ale na tym nie koniec. Proces cały czas trwa – mówił, podbródkiem pokazując na drzwi. – Dla tamtych ludzi jesteś ważniejszy niż ich własna matka. Wskoczą za tobą w ogień, będą robić wszystko, by pomóc ci wejść na szczyt, o ile dobrze ich poprowadzisz – mruknął, a jego wzrok przeniósł się w stronę okien. – A tamci ludzie? Brysonie, dla nich będziesz cholernym wybawicielem. Ludzie będą przychodzić do ciebie z pytaniami oraz oczekiwać odpowiedzi i niezależnie od tego, co im odpowiesz, będą cię kochać za to, że w ogóle zechcesz im pomóc. Ludzie są twoją inwestycją. Jak masz ich za sobą, jesteś w stanie działać więcej, niż możesz sobie wyobrazić. To ludzie są siłą, rozumiesz? – Jego wzrok padł na mnie, a oczy znów były chłodne i pozbawione wyrazu. – A ty masz to, co liderowi jest potrzebne – zimną logikę, pozbawioną ludzkich czynników, a jednocześnie potrafisz stać się cholernie dobroduszny i właśnie dlatego wszyscy będą cię uwielbiać i ufać ci. Będziesz dla nich pieprzonym bohaterem – skwitował wreszcie, klaszcząc przy tym w dłonie i upewniając, czy aby na pewno go słucham.

Manipulacja – to była jego broń. Był mistrzem manipulacji. Niestety, świat działał w taki sposób, że każdy miał swojego lidera. Bycie liderem to nie tylko posiadanie swojego stołka i długopisu z wygrawerowanym nazwiskiem. To przejęcie kontroli, gdy ludzie cię potrzebują. Naprawiasz to, co spieprzyli, dając im jednocześnie wiarę w lepsze jutro. Obsesyjna pogoń za pieniędzmi jest oznaką słabych ludzi. Nie musisz nikomu udowodniać, że masz władzę, ludzie sami wyczuwają, że dominujesz. Byłem gotowy, by stawić czoła wszelkim decyzjom, które zostaną zmuszony podjąć. Byłem zerojedynkowy, bezkompromisowy i głodny sukcesu.

Nazywam się Bryson Scott i jestem prezesem International Finance Center.

ROZDZIAŁ 1

Teraźniejszość

Drzwi windy się rozsunęły. Do biura wszedł dwudziestosiemioletni, pełen energii mężczyzna, mierzący około stu dwięćdziesięciu centymetrów. Miał szerokie ramiona, postawną, umięśnioną posturę, burzę kasztanowych włosów zaczesanych do tyłu, cholerny błysk w oku, a linia jego żuchwy wyraźnie się zarysowywała, gdy ten rytmicznie zaciskał szczęki. Miał kilkuniedniowy, ale zadbane zarost. Był chodzącym przykładem męskiego seksapilu. Nie musiał się odzywać. Sama jego obecność wzbudzała w kobietach pożądanie, a w mężczyznach... respekt, zazdrość i swego rodzaju podziw.

– Dzień dobry, panie Scott – rozległ się kobiecy głos.

– Dzień dobry – mruknął wyraźnie czymś rozdrażniony.

Humor często nie dopisywał mu z rana, zwłaszcza kiedy otrzymał kolejne skargi na temat swojej pracownicy w dziale managerskim. Poprawił rękawy koszuli, podwijając zgrabnie mankiety. Wrzucił kubek po kawie do śmietnika i zatrzymał się przy biurku sekretarki. Zerknął na swój srebrny, niebotycznie drogi zegarek.

– Za pięć minut chcę widzieć panią Evans u siebie. Przygotuj dla niej wypowiedzenie i dostarcz je do gabinetu – powiedział z uśmiechem, z powodu którego nie można mu było niczego odmówić.

– Oczywiście, panie Scott. – Kobieta skinęła głową z błyskiem w oku, który pojawił się, kiedy tylko prezes pojawił się w zasięgu jej wzroku. Poprawiła spódniczkę i ostentacyjnie podniosła się z obrotowego krzesła. Chwyciła za kilka kartek papieru i wsunęła je do drukarki.

Mężczyzna zmierzył ją chłodnym spojrzeniem od stóp do... miejsca, na którym znacznie dłużej zawiesił wzrok. Oblizał wnętrze ust i chrząknął, widząc sposób, w jaki sekretarka poruszyła biodrami. Cóż, praca sama się nie robi.

W całym biurowcu ściany gabinetów pracowników były szklane i, choć wyciszzone, dawały prezesowi to co dla niego najważniejsze – możliwość kontroli. Nienawidził jej tracić. Był apodyktycznym człowiekiem, z obsesją na punkcie trzymania ręki na pulsie. Wszystko musiało być tak, jak on tego chciał.

Gabinet pana Scotta znacząco się wyróżniał. Z powodu metrażu można by się pokusić o nazwanie go osobnym apartamentem. Od zewnątrz ściany były perłowoczarne. Nawet najdrobniejsze światło nie byłoby się w stanie przez nie przedrzeć. Wyjątkowo cenił sobie własną prywatność, zwłaszcza że składano mu tam wszelkiego rodzaju wizyty. Zasadniczo wszyscy pracownicy wiedzieli, że to, co dzieje się w gabinecie prezesa, zostaje w gabinecie prezesa.

Młody mężczyzna przyłożył kartę do czytnika, czemu zawtórował cichy dźwięk wskazujący na otwarcie drzwi. Kiedy wszedł do środka, odłożył czarną teczkę na biurko i westchnął, zanim przesunął językiem po ustach. Codzienna rutyna. Prawdę mówiąc, ta praca zaczynała go już męczyć.

Kiedy tylko usłyszał ciche pukanie do drzwi, podniósł głowę.

– Pani Evans przyszła, tak jak pan prosił, panie Scott – poinformowała sekretarka.

– Wpuść ją – rzucił, stając przed swoim biurkiem i opierając się o nie tyłem.

Podniósł pewniej głowę, a jego chłodne spojrzenie sparaliżowało kobietę, kiedy tylko stanęła w progu gabinetu. Nogi się jej ugięły, a ona sama nagle zwiotczała. Suchość w gardle uniemożliwiła jej wyartykułowanie jakiegokolwiek dźwięku, a trzęsące się dłonie wskazywały na to, że doskonale wiedziała, co ją czeka.

– Dzień dobry, panie Scott. – Mężczyzna usłyszał to dziś po raz setny, a to dopiero poranek. Wykrzywił usta z niesmakiem.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry, Claries – skwitował oschle, unosząc brwi w wyzywający sposób. Wyraz jego twarzy przeszedł płynnie z poirytowania we wściekłość.

– Nie rozumiem... – odezwała się po dłuższej chwili, szczypiąc paznokciami tkaninę szarej ołówkowej spódnicy.

Szef westchnął i wyciągnął rękę po materiały. Prześledził ich treść badawczym wzrokiem i wysunął je w stronę brunetki. Wytłuszczony nagłówek „Wypowiedzenie” raził ją w oczy. Uchyliła drżące wargi, przytykając do nich dłoń, a w jej oczach stanęły łzy.

– Ale... przecież... – zająknęła się, a wtedy młody prezes przewrócił oczami, wypuszczając z irytacją powietrze. – Panie prezesie, proszę... – Uniósł dłoń, ucinając jej wypowiedź i sugerując, by darowała sobie zbędną litanię, którą nawet nie był zainteresowany.

– Byłem pewien, że dawałem pani wyraźne sygnały – powiedział, przekrzywiając głowę. – Padały z mojej strony ostrzeżenia, bo niejednokrotnie dochodziły do mnie skargi na panią. Mało tego – jestem niemal pewny, że znajdę coś jeszcze – dodał, przyglądając się jej uważnie, tak jakby szukał na twarzy odpowiedzi, które mogłyby uzasadnić jej postępowanie.

– Proszę pana o jeszcze jedną szansę – nalegała, ściskając dokument w dłoniach. W jej głowie wciąż tliła się iskierka nadziei.

On ponownie się wyprostował, wciągnął powietrze nosem i przesunął językiem po wnętrzu ust.

– Claries... – zachrypniętym głosem od razu ostudził kobietę.

Prezes odepchnął się od biurka i podszedł do niej bliżej. Powolnym krokiem okrążał ją, a jego ciemne oczy powoli skanowały jej nienaganną figurę.

– Ile razy dawałem ci szansę? – wyszeptał nagle, wsuwając dłonie do kieszeni spodni, wystawiając jedynie kciuki. Kiedy tak stał za nią, będąc niebezpiecznie blisko, jego gorący oddech odbił się od jej odsłoniętego karku.

W tym momencie przez ciało brunetki przebiegł dreszcz, którego nie potrafiła kontrolować. Powoli zamknęła oczy i wbiła

zęby w dolną wargę, a zapach świeżej mięty sprawił, że była bliższa omdlenia. Wreszcie zebrała się na odwagę. Rozchyliła usta, aby coś powiedzieć, a wtedy on złapał ją od tyłu za szyję i objął ręką w pasie, przyciągając do siebie z głośnym warknięciem. Wreszcie odchylił jej twarz w bok, szepcząc do ucha:

– Ile, co?

Kobieta zaczęła szybciej oddychać, a jej kolana ugięły się pod wpływem dotyku. Kiedy dłonie mężczyzny zaczynały tę grę, kobiety za każdym razem traciły zmysły. A do tego zapach jego perfum...

– Raz.

– Raz, co? – Przycisnął ją jeszcze mocniej.

Jęknęła, mimowolnie przebiegając nogami.

– Raz, proszę pana.

Scott uśmiechnął się pod nosem, a jego dłoń z talii powędrowała znacznie wyżej. Przeniósł spojrzenie na jej profil, przesuwał nosem po jej karku, tak jakby zaciągał się zapachem.

– I co ja mam z tobą zrobić, Claries? – wychrypiął przy jej uchu, zagryzając jego płatek.

Kobieta wzięła głęboki wdech, jak gdyby brakowało jej powietrza. Jeszcze chwila i poczułaby, że nie może oddychać z nadmiaru emocji.

– Proszę... proszę o jeszcze jedną szansę... – skomlała, na co prezes uniósł brew, zawadiacko się uśmiechając.

– Musiałbym się nad tym zastanowić – wyszeptał, rozpinając jedną dłonią jej bluzkę. Zwinne palce rozsunęły koszulę i przemknęły po odkrytej skórze. Ciche jęknięcie wyrwało się z jej ust. Drugą ręką wciąż przytrzymywał jej smukłą szyję, przez co miał nad kobietą pełną kontrolę. Tak, jak zawsze.

– Błagam... – zaczęła, a w jej głosie dało się wyczuć skrucę.

Mężczyzna wreszcie odwrócił ją przodem do siebie i zmarszczył czoło, znów mierząc kobietę spojrzeniem. Cofnął się do biurka i oparł o nie tyłem, krzyżując ramiona na torsie. Obserwo-

wał, jak sekretarka zmniejszyła odległość między nimi. Wreszcie uklękła przed nim, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Oczy mu pociemniały, kiedy dotknęła wybrzuszenia w jego spodniach, ale nie okazał żadnych emocji. Rozpięła rozporek i przeszła do rzeczy, które wydawały się niektórym kartą przetargową pracy w tej korporacji. Można powiedzieć, że dzięki temu mógł zadecydować, czy pracownica wciąż może tutaj pracować, czy po prostu wylatuje. Nie każdej jednak przypadał w udziale ten „zaszczyt”. Lubił Claries, wiedział, że jest łatwym celem. Była bezbronna, nie pyskowała, nie stawiała się, zawsze przytakiwała jego decyzjom, a on był przekonany, że ma ją w garści. A co najlepsze, nawet nie oponowała, sama obejmując jego naprężonego penisa ustami.

Robiła to tak apatycznie, sunąc ustami jedynie do jego połowy, że prezes prawie warknął. Oparł dłonie na tyle jej głowy, a w kąciakach jej oczu pojawiły się łzy, kiedy zaczął mocniej poruszać biodrami, rżnąc jej gardło. Zaczynało brakować jej powietrza, dławiała się, jednak wciąż była zależna od pana. Podniosła spojrzenie w niemal czarne oczy i zadrżała. On wreszcie złapał ją za włosy i odciągnął w tył z kpiącym uśmiechem. Kiedy ta łapała hausty powietrza, prezes potrząsnął głową, poprawiając materiał swoich jedwabnych spodni.

– Ciekawe jak spiszysz się jako recepcjonistka, bo tam zostajesz właśnie zdegradowana. Godziny pracy wyznaczysz ci moja sekretarka – mówił, okrążając biurko, i powoli zajął miejsce w fotelu. – Jeszcze raz się potkniesz i wylatujesz, rozumiemy się? – Zmarszczył brwi, patrząc na nią spojrzeniem, które nie przyjmowało sprzeciwu.

Kobieta oblizła usta i pokiwała głową, podnosząc się z kolan.

– Dziękuję... – wyszeptała, wycierając mokre kąciaki oczu. Po chwili poprawiła spódniczkę, po raz ostatni zerkając na szefa. Po tym puściła z gabinet.

– Nie spóźnisz się, nie spóźnisz się... – powtarzała studentka drugiego roku zarządzania.

Kiedy tylko trzasnęła drzwiami swojego samochodu, pewnym krokiem ruszyła w stronę siedziby International Finance Center.

W głowie plątała się jej myśl, żeby zrzucić ze stóp szpilki i biec boso, trzymając je w dłoni. Przekląła moment, w którym postanowiła je włożyć – te cholerstwa, mimo że były piękne, sprawiały ból jak cholera.

Przewiesiła torebkę przez ramię, poprawiając w dłoni teczkę z dokumentami. Dostanie się tutaj z drugiej części miasta nie sprawiłoby jej większego problemu, gdyby nie to, że samochód postanowił się zbuntować. Że też to właśnie musiało się stać dziś. Przysięgała sobie, że jeżeli już uzbiera odpowiednio wysoką kwotę za staż, kupi samochód na prąd, wodę lub cokolwiek, co nie będzie jej dręczyć swoimi potrzebami... no, może za trzydzieści lat.

Poprawiła czarną apaszkę, która jako jedyna wyróżniała się w jej stroju – a był on prosty, elegancki i informujący, że jest gotowa do postawionych jej zadań. Kiedy pokonała próg siedziby, szczęka niemal opadła jej ze zdumienia na podłogę.

Wszystko wyglądało jak scena z filmu. Szklane gabinety. Szklane stoły. Szklane schody. Każdy z pracowników był skupiony na zakresie swoich zadań do wykonania. Jasna cholera. Na zajęciach z przedsiębiorstwa pani profesor ostrzegała przed takimi firmami. To świadczyło o tym, że prezes lub zarządca takiej korporacji mają obsesję na punkcie kontroli, przewagi i dominacji nad innymi. Cóż, przynajmniej mieli jedną wspólną cechę – dążenie do celu, choćby po trupach.

Jeden mężczyzna przebiegł obok niej z teczką pod pachą i telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha oraz kubkiem w dłoni. Drugi nieśpiesznie oczekiwał na przyjazd windy, a jeszcze inny wybrał schody, zapewne z braku czasu.

– Dzień dobry! – studentka zwróciła się do kobiety, która stuknęła w klawisze na klawiaturze komputera.

Nad jej okienkiem widniał napis „Informacja”. Kiedy ta nawet nie drgnęła, dziewczyna chrząknęła, zaznaczając tym samym swoją obecność. Leniwe spojrzenie pracownicy przeniosło się na młodą stażystkę.

– Słucham? – rzuciła w końcu, splatając palce.

– Ja w sprawie stażu. Jestem Sophia Cole, zgłosiłam swoje podanie jakieś trzy miesiące temu. Wczoraj zostałam przyjęta i zaproszona na rozmowę w sprawie...

– Pan prezes jest zajęty – wyprzedziła ją recepcjonistka, na co dziewczyna zmarszczyła czoło.

– A kiedy „pan prezes” będzie wolny? – Uniosła dość wyzywająco brwi, przechylając głowę na bok.

Kobieta ciężko westchnęła, przewracając przy tym oczami.

– Przyjdź później. Jutro też jest dzień. – Zbyła ją, odwracając się w stronę komputera.

Dziewczyna przełknęła ślinę, mierząc pracownicę stanowczym spojrzeniem.

– Zostałam umówiona na dzisiaj – zaznaczyła, kładąc dłonie na marmurowym blacie.

Sophia nie zamierzała dawać za wygraną, zwłaszcza że chodziło o cholernie istotną rzecz. Miała możliwość odrabiania stażu w jednej z największych korporacji finansowych na światowym rynku. Na samą myśl kręciło się jej w głowie z podniecenia.

Recepcjonistka wypuściła powietrze i ze zniechęceniem machnęła ręką w stronę windy.

– Dziewięćdziesiąte piętro. Tam czeka na panią sekretarka pana prezesa – odparła z wymuszonym uśmiechem, nawet na nią nie patrząc.

Dziewczyna stłumiła chęć przewrócenia oczami i, mrużąc ciche „dziękuję”, odeszła we wskazanym kierunku, kręcąc przy tym głową z zażenowaniem.

Czy w takich wielkich firmach zawsze pracują same gbury? – pomyślała.

W windzie panowała kompletna cisza. Było słycać jedynie pracujący dźwig, który ją wznosił. Dopiero na czwartym piętrze do Sophii dołączyło kilkoro pracowników, w tym blondynka z włosami spiętymi w elegancki prosty kok. Z pokonaniem każdego kolejnego poziomu dłonie dziewczyny pociały się coraz bardziej, a oddech przyśpieszał. Jak gdyby to właśnie na dziewięćdziesiątym piętrze miało wydarzyć się coś, czego miałyby się obawiać.

No tak... rozmowa z prezesem. W International Finance Center w ramach programu inwestującego w przyszłość młodych ludzi, to właśnie prezes korporacji osobiście spotyka się ze stażystami, szukając wśród nich kompetentnych ludzi, którzy mogliby stanowić w przyszłości część zespołu jego pracowników.

Kiedy na wskazanym piętrze obie kobiety wysiadły, studentka zaczęła swoją towarzyszkę.

– Przepraszam, gdzie znajdę gabinet pana prezesa? – Uniosła brwi z nadzieją, że kobieta nie będzie tak nadęta jak jej poprzedniczka. Ona zaś zatrzymała się nagle, potrząsnęła głową i zmierzyla spojrzeniem jej drobną posturę.

– A pani w jakiej sprawie? – Blondynka wyprostowała się, unosząc głowę.

– W sprawie stażu, jestem...

– Sophia Cole? – Uniosła brwi, na co ta przytaknęła.

Cholera, ta kobieta była świetnie zorganizowana. Na pewno wymagała tego od niej jej praca. Sekretarka prezesa... no tak, przecież on nie zatrudniłby byle kogo.

– W takim razie zapraszam. – Uśmiechnęła się dosłownie na ułamek sekundy, zanim ruszyła długim korytarzem. Szpilki zapowiadały jej przybycie rytmicznym dźwiękiem stukania obcasów na marmurowej, karraryjskiej posadzce, a długie nogi prowadziły jej piękne, kształtne ciało.

Sophię zaczynał niepokoić fakt, że w zamkniętych szklanych gabinetach siedzą pracownicy jakby zakłęci w transie, wykonując połączenia telefoniczne, uzupełniając jakieś papiery, dane

w komputerze czy inne sprawy – ważne i mniej ważne. W końcu obie kobiety zatrzymały się przed gabinetem, którego ściany odróżniały się od innych. Były perłowoczarne, co wyjątkowo zaskoczyło Sophie. Gula ugrzęzła w jej gardle, a bijący od pomieszczenia chłód przyprawił dziewczynę o zawrót głowy. To miejsce wręcz krzychało bogactwem i luksusem.

– Za tymi drzwiami znajduje się gabinet pana prezesa – wyjaśniła sekretarka, skupiając chwilowo wzrok we wskazanym kierunku. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci tam wchodzić, jeśli nie zostałeś o to poproszona, prezes jest zajęty, jeśli ktoś jest u niego lub gdy to ja nie zezwolę ci na przekroczenie progu tych drzwi, rozumiemy się? – zapytała, spoglądając na dziewczynę.

Sophia przełknęła ślinę i skinęła posłusznie głową.

– Świetnie. Jako główna sekretarka pana prezesa, w jego imieniu przydzielam ci stanowisko w call center. Zaczynasz od zaraz, punkt jedenasta. Wszystko wyjaśnię ci na miejscu. – Wymusiła sztuczny uśmiech i wróciła do swojej pracy.

Stażystka uniosła brwi z zaskoczeniem.

– Nie, nie, to chyba jakiś błąd – odparła, kręcąc przy tym głową. – Miałam być na stanowiu...

Przerwał jej dźwięk otwieranych drzwi, z których pośpiesznie wyszła niewysoka brunetka z widocznym smutkiem wypisanym na twarzy. Była bliska płaczu, a może nawet już zdążyła uronić łzy. Studentka wciągnęła powietrze, zaciskając nerwowo wargi. W pierwszej chwili chciała zrezygnować, ruszyć w stronę windy i uciec stąd, ale zdrowy rozsądek nakazał jej wziąć się w garść.

Cóż, prezesem musi być pewnie stary, nadęty kolesz po sześćdziesiątce, który myśli, że jego pracownicy to mrówki, gotowe spełnić każde żądanie.

– Susanne, wychodzę na spotkanie. – Męski, nieco zachrypnięty głos dotarł do uszu młodej dziewczyny, co spowodowało, że ponownie miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Seria dreszczy przebiegła wzdłuż jej kręgosłupa, a ona sama po raz pierwszy poczuła przypływ swego rodzaju podniecenia – nie wiedziała tylko, czy to ze strachu, czy raczej z fizycznych pobudek.

– Oczywiście, panie Scott. – Sekretarka skinęła mu głową, posyłając szeroki uśmiech. Przekrzywiła głowę i zagryzła dolną wargę, opierając przy tym dłonie na biodrach.

Chora lizuska – pomyślała stażystka.

Sophia wciąż nie zdążyła zobaczyć jego twarzy, kiedy blondynka pchnęła ją w głąb korytarza. Nieubłaganie zbliżała się jedenasta, a przypadkowe miejsce w dziale call center czekało właśnie na nią.

Cóż, jakoś przeżyje ten jeden dzień.